

Uniwersum
Vaa



Seranos

Entropia

osierocę wilki



Uniwersum
Vaa



seranof
Entropia
osierocę wilki

dla **szare**
czemu

*Wszechświat kiedyś spłonie lub wystygnie,
a po wszystkim, co ludzkie, nie zostanie cień,
bo nie będzie nawet światła.*

Playlisty przygotowane przez autora na Spotify.

WYBIERZ POZIOM TRUDNOŚCI:

[ŁATWY]



[ŚREDNI]



[TRUDNY]



OGNIU, KROCZ ZE MNĄ

Łatwo zapomnieć, że się umiera, kiedy w żyłach krąży żywy ogień. Czuję się jak bóg, jak władca świata, jak płomień krążący pomiędzy śmiertelnikami, jak tytan pośród maluczkich.

A wszystko to pomimo tego, że jestem tu całkiem sam.

Wokół mnie tańczą jedynie płatki śniegu, nikogo innego nie ma. Jestem tu sam. Pusto, pustka, nie ma nic, może poza szczytami widocznymi gdzieś na widnokręgu, malującymi się na horyzoncie, oraz kikutami drzewek wyrastających spod śniegu.

Na którym dachu świata jestem?

Jakie to ma znaczenie, przecież ogień płynący w moich żyłach może roztopić wszystkie śniegi świata.

Może.

Nie zmienia to faktu, że przede mną długa i trudna droga. Czas ucieka, a w tym stanie łatwo zapomnieć, że się umiera.

Czuję, że mogę wszystko. Że tętni we mnie niewyobrażalna, monstrualna siła, że mogę pstryknąć palcami i zakończyć głód w sferze, że mogę pstryknąć palcami i zrzucić na miasto księżyc. Że mogę pstryknąć palcami i odmienić los.

Czy tak czują się smoki? Czy tak czuł się mój mistrz, Rghll? Czy tak się czuł, gdy zrównywał z ziemią wojska Antesa Verema, mojego przyjaciela?

Myślę o Rghllu jako swoim mistrzu, ale chyba nie powinienem. Znałem go zaledwie parę dni. Może licząc wspólną podróż przez piekła, ale dla nas była to... godzina? Dwie? Tutaj natomiast świat zdążył obrosnąć białym zimnem, nadszedł sezon demona, więc mogło minąć z pięć, może dziesięć dekarów.

Jakieś pięćdziesiąt, może sto wschodów i zachodów słońca.

Może nazywam go swoim mistrzem, bo przez całe swoje życie chciałem być taki jak on? Chciałem być nim. Marzyłem o tym, żeby go poznać, porozmawiać z nim, móc się do niego zbliżyć.

Może. Może dlatego.

Wiem też... Trochę czuję, jakby był mi przyjacielem, ale chyba wiem też dlaczego. Pomagając komuś, przywiązujemy się do niego.

A ja oddałem mu swoje życie.

Rghll Ftninn – mój mistrz, przyjaciel, najpotężniejszy żyjący śmiertelnik, żywy bóg.

Oto ja, uczeń żywego, nieśmiertelnego boga. Mówię to z dumą, choć to nawet nie jest prawda. Rghll kosztował mnie życie, choć próbował mi się odplacić. Muszę to pamiętać.

– W bibliotece magów Vironolu znajduje się Czarna Księga, jest tam spisany rytuał nieśmiertelności. – Jego rybi skrzek odbija się echem w mojej głowie. Odbija się echem od fosforyzujących mocą ścian mojego umysłu.

Muszę to pamiętać. Ciekawe, skąd wiedział o tym, co się wydarzy. Może demony mu powiedziały?

Musiały mu powiedzieć.

Rozglądam się. Nic, tylko równe białe pola na tym szczycie świata obsypanym śniegiem. Wiem, gdzie jest północ, widzę ją... cholera wie czym. Oczami? Głową? Po prostu wiem, gdzie jest północ. Tam też się kieruję. Ale dlaczego w ogóle skręciłem w te bezdroża?

Głowa mnie boli od tej mocy. Nie mogę się na niczym skupić. Moje myśli biegają i lawirują, a ja muszę myśleć jasno.

Dlaczego od początku nie załatwiłem sobie konia czy czegoś? Gdzie ja w ogóle byłem?

Zabójczyni! Podążyłem za nią, ale... gdzie ona jest? Nic nie pamiętam.

Nie mogę się na niczym skupić przez ten natłok myśli,

tę energię drzemiącą w mojej duszy. Nic nie pamiętam. Czuję się jak idiota pośród bieli. Samotny, debilny bóg szaleństwa.

Dlaczego chciałem podążać za zabójczynią? Dlaczego?

Bo знаła Valandriol! Bo znała odpowiedzi na wiele pytań. Bo mogłaby mi pomóc...

Ale nie chciała! Uciekła! Więc oto stoję sam, zatopiony w śnieżnej bieli po pas.

Mam za swoje, to wszystko moja wina. Mogłem zostać, mogłem z nią zostać. Mogłem zostać z moją ukochaną, z Saa'rd, mogłem jej posłuchać.

A teraz? Teraz jest za późno. Umieram, przesiąknięty toksyczną smoczą mocą, z dala od domu i Saa'rd, z dala od rajskich plaż. Z dala od Thennetha, grobu mojej matki i wszystkiego, co kiedykolwiek znałem i kochałem. Z dala od Verema i przyjaciół, których pewnie już nigdy nie spotkam.

Teraz muszę po prostu dostać się do Vironolu. Oczywiście w końcu znajdę jakąś drogę. Potem zabudowania, karczmę, stajnię, konia albo wóz, może nawet jakiś transport do Vironolu. Ukradnę Czarną Księgę i odzyskam swoje życie.

Tak po prostu – ukradnę księgę i odzyskam życie. Odzyskam zawiązką.

Wtedy wrócę. Wrócę do domu, do niej, do Saa'rd, na tę ciepłą plażę, na której ją zostawiłem.

Nie, nie chcę o niej myśleć. Nie mogę teraz o niej myśleć,

muszę znaleźć drogę. Muszę tylko znaleźć jakąś drogę.

Plachta białego śniegu pokrywa ziemię, a ja nie widzę nic oprócz szczytów na horyzoncie. No i tej północy. Od zawsze wiedziałem, gdzie ona jest... i chyba nigdy nie przestanę jej widzieć.

To jedyne, co utrudnia mi percepcję. To jedyne, co utrudnia dostrzeżenie prawdy mojemu racjonalnemu umysłowi chłopka wychowanego w rynsztokach Ney'inu.

To moc. Ta ogłupiająca, obezwładniająca, euforyczna moc.

Jak to było w klasycznych księgach? Nieskrępowana siła wyrodnieje.

Czując w sobie tę nadnaturalną smoczą magię, mam wrażenie, jakbym był nieśmiertelny, jakbym mógł – niczym legendarny dżin – spełniać życzenia. Ale nie czyjeś, lecz swoje własne.

A może... Po co mam iść do Vironolu i szukać jakiejś tam księgi? Mogę zostać tu i żyć niczym bóg. Po co mam iść do Vironolu i walczyć o życie, skoro mogę się unieśmiertelnić tutaj? Zbudować sobie posąg, a nie szukać jakiejś księgi. Zwalczyć efemeryczność.

Czy to chcę zrobić? Zostać tu i postawić sobie pomnik?

A może... może to zrobię? Ludzie będą się kiedyś zastanawiali, czyj posąg stoi tu, pośrodku pola.

Skupiam się.

Łaskocząco-drażniące pęcherzyki magii zdają się zrywać

spod ziemi i wplatać w moje ciało. Wirują wokół moich nóg, okalają mnie i oplatają, jakby się ze mną drażniąc. Wnikają we mnie, pieszczą mięśnie, kości, stawy. Pieszczą wszystko, co we mnie ludzkie.

Czuję, jak wołają mnie magnetyczne złoża żelaza drzemiące pod moimi stopami. Przyciągają mnie, wzywają, śpiewają swoją pieśń.

Formuję je myślą. Trzymam lejce tej potęgi w moich żywych ludzkich dłoniach. Wyciągam je w górę, lepię cząsteczki, łańcuchy, nadaję im kształt swojej woli, swojej osoby.

Stoi. Wielki, górujący nad wszystkim wokół. Ma co najmniej dziesięć metrów wysokości. Jest.

Ręce złożone na piersi. Tylko w takiej pozycji czuję się pewnie sam ze sobą. W każdej innej wydaje mi się, że wyglądam na słabego, zagubionego.

Nogi w rozkroku, żeby pomnik się nie zawalił, ale też pokazujący siłę, determinację. Głowa skierowana na zachód, ku Neri'inowi. Ku mojej ojczyźnie.

Oto ja. Nieśmiertelny. Wieczny. Tutaj, na zaśnieżonym polu, gdzieś pośród valandriolskich górskich szczytów, sam, w głuszy. Wyrośłem trwalszy niż ze spiżu, by na wieczność zdobić te ziemie swoim obliczem. Obliczem chłopaka wychowanego w dzielnicy slumsów – Naa'frackie – przez samotną matkę, która zupełnym zrzędzeniem losu miała wystarczająco ładne pośladki i piersi niezniszczone ciążą.

Wystarczająco, żeby zostać nałożnicą maga, który obiecał mnie – zwykłego chłopaka z rynsztoka – przyjąć do szkoły magów.

Czy był dobrym ojczymem?

Za odpowiedź wystarczy chyba to, że mój pomnik stoi w Valandriolu.

A, jeszcze tabliczka.

Veyrix Duren

Jeszcze żyję.

Głupi podpis. Trudno.

Kręci mi się w głowie, ale to nie ma znaczenia. Oto stoi mój pomnik. Zostanie tu na zawsze. Na jakimś valandriolskim polu. Mnie samemu zostało około dziewięciu dekarów. Może osiemdziesiąt parę dni, może dziewięćdziesiąt kilka.

Po tym czasie umrę. Prawdopodobnie słaby i samotny.

Taka jest cena marzeń.



POŚRÓD SAMOTNOŚCI MROZÓW

Ogień rozbłyska, by rzucić wokół jasną poświatę.
Na twarzy czuję żar. Śnieg się unosi. Kwitnący ogień
przykrywa biała mgła.

Krew wysycha w locie. Jej krople nawet nie opadają
na ziemię. Nawet nie widać jej na śniegu. A przecież
powinna być krew, zające mają krew.

Znika mi czerwień widziana magicznym wzrokiem.

Jestem magiem i całe życie uczę się panować nad energią,
starając się jednocześnie osiąść coraz większą i większą
moc. To, co się dzieje, nie wygląda dobrze. Moje ciało
śpiewa i tańczy z radości i euforii, ale nie mój racjonalny
umysł. Mój racjonalny umysł dostrzega te kłamstwa, patrzy
przez nie, walczy z nimi...

...a przynajmniej się stara.

Ten zając miał mnie nakarmić, ten racjonalny umysł zamknięty w szalonym ciele, ale nie nakarmi – eksplodował. Ten racjonalny umysł nie umie zapanować nad tym szalonym ciałem. Świat bez precyzji jest jak świat bez miłości.

Ta moc zaburza moją samokontrolę.

Postawiłem sobie pomnik pośrodku pola! Jak cholerny skończony idiota!

Ile energii straciłem? Ile cennego czasu? Godzinę? Dzień? Dekar?

Moje ciało to pulsująca bomba. Jarząca się mocą, aż wypromieniuję z siebie całe życie, czy to magią, czy po prostu oddechem, egzystencją. Na końcu umrę, rozpadnę się. Pożre mnie entropia.

Jeszcze stąd widzę ten pieprzony pomnik, po cholere mi on był? Ta siła zaburza moje myślenie, zaburza moją ocenę sytuacji, a teraz jeszcze pokazuje, że nie mogę nad sobą panować.

Nie mogę sobie ufać.

Najgorsze jest to, że nie mogę sobie ufać.

Jestem głodny, choć nie czuję głodu. Jestem zmarznięty, choć nie czuję zimna. Chyba po prostu czuję, że powinienem jeść, bo dawno nie jadłem, a w tych górach musi być lodowato. Pewnie mógłbym zabić głód magią, wyczarować sobie chleb prosto w żołądku. Ogrzać

się, stworzyć wirujące wokół ognie. Zapewne nie byłoby to trudne, ale i tak nie powinienem. Nie chcę eksperymentować teraz, tutaj, na środku pola. Kiedyś ta magia odejdzie, a wtedy zostanę sam, bezbronny.

Zresztą... nie czuję głodu. Nie czuję zimna. Nie dam głowy, że już nie karmię i nie grzeję się magią. Może po prostu tego nie czuję, może po prostu nie mam kontroli nad tą wrzącą mocą. Wszystko na to wskazuje.

Nie mogę uzależnić się od magii, która i tak ulatuje ze mnie z każdą chwilą, każdym oddechem. Wychowałem się w slumsach i nauczyłem się tam kraść i bić, nauczyłem się naginać ludzi do swojej woli albo chociaż znajdować kogoś, kto robił to za mnie.

Siła deprawuje, a ja umrę za osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt dni.

Albo przeżyję, ale pewnie nie będę tak potężny jak teraz.

Prawdopodobnie nigdy nie będę tak potężny jak teraz.

W ogóle mogę już nigdy nie być taki jak teraz.

Nie mogę przyzwycząć się do bycia ogniem kroczącym poprzez śniegi, do tej wygody, do komfortu. Kiedyś może mi tego zabraknąć. Z tą mocą kroczy szaleństwo. Nie zostało wiele czasu.

Skup się. Skup!

Trzeba umieć wykorzystywać to, co się dostaje od losu. A co ja dostałem? Moc smoków, która pożera moje ciało

od wewnątrz, a wraz z nim wszystko, co kiedykolwiek czyniło mnie człowiekiem. Jednak teraz ta moc to też moja jedyna szansa na przetrwanie.

Byłem w Labiryntach pośród demonów, nie wierzę w Ogrody pełne aniołów. Takie rzeczy nie są dla mnie. Takie rzeczy są dla tych drugich. Takich jak...

Moja matka?

Dla mnie jest definicją miłości, ale czy jest taka dla Ethnustów? Nawet nie znam imienia swojego ojca. Jeśli miałbym kogoś określić tym mianem, to byłby to Thenneth, mag z uniwersytetu magów Ney'inu, który nawet nie był dla mnie ojcem. Był raczej kimś, kto...

Kto po prostu pieprzył moją matkę, był w moim domu i zapisał mnie do szkoły, czym zagwarantował mi przyszłość.

Jasne. Widziałem gorszych ojców niż on, ale mimo to... zawsze było w nim coś obcego. Coś, co nie pozwalało mi nigdy zapomnieć o tym, że to przecież nie mój prawdziwy ojciec. Kiedy go widziałem, nie czułem od niego tego ciepła, które czułem od matki. Ciepła, które moi przyjaciele otrzymywali od swoich matek i ojców, choć ci często bywali nachlani, śpiący gdzieś na stole albo pod.

To był Thenneth – początkowo pan Thenneth, a potem po prostu Thenneth. Nigdy ojciec, nigdy tata, nigdy ten okrutny śmieć. Po prostu Thenneth.

Jestem głodny, a nie potrafię nawet magią upolować królika,

bo jestem zbyt potężny, żeby zostawić z niego cokolwiek.

Martwię się. Jaki jest sens potęgi, jeśli nadal muszę się czymś martwić?

Umrę z głodu jak ten mityczny Midas z Błogosławionego Imperium. Lub z zimna. No, ale ja chociaż mogę zaspokoić głód magią, prawdopodobnie. Midas nie mógł.

Muszę się opanować. Nie może być tak, że jestem zbyt potężny. Rghll to potrafi, smoki to potrafią, potrafi to Ethnu, na pewno.

Czy ja właśnie porównałem się do bogów?

Rghll nie jest bogiem, a przynajmniej nim się nie urodził. On zdobywał swoją moc eonami, ty ją dostałeś.

Zamykam oczy. Koncentruję się na tym, co wokół. Czy coś słyszę? Czy coś czuję?

Jest!

Kolejny czerwony obłok unosi się na jedenastej, jakieś trzydzieści – czterdzieści metrów ode mnie.

Zając.

Skup się.

Był w naszej szkole taki dzieciak. Nazywał się Morfeld. Nie pamiętam, co się z nim stało, ale miał odwrotny problem niż my wszyscy. Kiedy ja starałem się wykrzesać z siebie iskrę, on wyrzucał płonąca kulę.

Często mdlał, bo za cholerę nad tym nie panował, ale na nas, dziewięciolatkach, robiło to ogromne wrażenie.

Kiedy nauczyciele uczyli, jak skropić parę wodną zamkniętą w szklance, on musiał uczyć się tego, jak sprawić, żeby na szklance nie pojawiał się szron.

Moja sytuacja przypomina właśnie te lekcje. Całe życie uczyłem się, jak wszystko robić na sto procent, ale teraz muszę nauczyć się wyczucia. Muszę dowiedzieć się, jak dmuchnąć, chuchnąć, miżnąć.

Miżnąć.

Moje życie to przeciwieństwo miżnień i miziania. Moje życie to czołganie się po rozbitym szkle. Moje życie to panika i furia splecione w warkocz. Tak jak każdego wychowanego w biednych dzielnicach Ney'inu. Tak jak mnie – chłopaka, który musiał krać, żeby mieć co jeść. Który musiał się bić, żeby mu tego jedzenia nie zabrali.

Wszystko się zmieniło, gdy pojawił się Thenneth. Miałem wtedy z dziewięć, może dziesięć lat. Było ciężko, ale to właśnie ulica nauczyła mnie wszystkiego, tej paniki furii splecionych w warkocz. Dlatego to właśnie mój pomnik stoi w Valandriolu, a innych nie.

Choć żałuję tego, że go postawiłem, to chyba nie przestanie mnie to bawić. W jakiś sposób poprawia mi to humor. Dodaje sił, motywacji.

Zając, czerwona mgła, na jedenastej, trzydzieści siedem metrów.

Skup się. Skup się, durniu! Skup!

Sopel.

Pęcherzyki magii suną po mojej skórze. Łaskoczą. Czuję, jak zbliżają się do mojej dłoni, jak wirują wokół niej.

Linia wydłuża się do absurdalnych rozmiarów, w krytycznym momencie rozbłyskuje błękitem.

Zając nie żyje, tego jestem pewien.

Idę do niego, przebijając się przez biały puch.

Pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt jeden. Pięćdziesiąt dwa.

Kucam.

Jestem pod wrażeniem. Przebiło go. Rozpiera mnie duma. Dzisiaj zjem.

Trzeba teraz tylko rozpalić ogień tak, żeby nie spalić całego świata.

Pokusa jest ogromna, ale pokryte śniegiem drzewa i tak nie będą płonąć szczególnie spektakularnie.



PRZEZ PRZESZŁOŚCI SCHODY

Pies skomle, pada na ziemię, ale Miresh kopie dalej. Pies patrzy na niego tymi brązowymi oczami. Oczami wpatrzonymi w niego jak w obraz. Oczami przepraszającymi. Oczami wiernymi, cierpiącymi, oddanymi.

– Zostaw go! – krzyczę i rzucam się na niego. Pcham go na ścianę.

Odwraca się do mnie. Twarz ma wykrzywioną w nienawistnym grymasie. Skóra na zapadniętych policzkach czerwienieje ze złości. Spomiędzy lekko wydętych warg wychylają się nieco królicze zęby. Lewa jedynka jest ukruszona.

– Bo co? Bo twoja matka kurwa po mnie przyjdzie? Bo twój nowy tatuś przyjdzie? Spierdalaj, Veyrix! – odpowiada, a każde jego słowo sprawia mi ból. Boli mnie

też skomlenie tego psa, boli mnie jego złość. Boli mnie jego nienawiść.

Boli mnie ta prawda, którą mówi. Gorzka prawda. Boli mnie, że ostatnio sińce nie znikają z mojej twarzy, a przyjaciół mam coraz mniej. Boli mnie to, że czuję się samotny, bezwolny, bezsilny, beznadziejny. To, że moja mama ma nowego... męża? Fagasa, jak na niego mówią. Boli mnie to, że ten Thenneth ją...

Oni mi wszystko powiedzieli! Powiedzieli mi, dlaczego to złe i dlaczego teraz jestem skalany w ich oczach. Dlaczego jestem gorszy, dlaczego jestem skazany na potępienie w tym naa'fraktowym czyścicu.

Powiedzieli mi, dlaczego mnie nienawidzą.

I mają rację.

– Zostaw go, Miresz! – krzyczę znowu, krzyczę głośniej, straszniej. Krzyczę tak, żeby mnie usłyszał, żebym ja siebie usłyszał.

Miresz patrzy na mnie z góry. Zawsze był ode mnie silniejszy, bo starszy. Kiedyś go broniłem przed jego pijanym ojcem, ale nie wytrzymałem długo – nie na tyle, żeby mógł uciec.

Dostałem wtedy w głowę i padłem. W sumie nie padłem, a uciekłem z płaczem. Nie wiedziałem, co innego mogłbym zrobić. Stchórzyłem. Może mogłem wytrzymać dłużej. Może mogłem walczyć. Może, może, może – ale nie wytrzymałem.

Byłem bezsilny, dlatego Miresz ma ukruszoną lewą jędynkę. Zawiodłem go, zawiodłem siebie.

Takie jest życie w Naa'frakcie.

Słyszę głucho uderzenie, robi mi się ciemno przed oczami. Padam na bruk. Podnoszę wzrok. Stoją nade mną Ló'sierz i Thias. Moi przyjaciele. Dawni przyjaciele.

– Zostawisz psa Miresha? – pyta Thias. Jego buzia jest wykrzywiona w złowrogim skupieniu, oczy ma jak szparki, spod ściśniętych powiek ledwo widać ciemne tęczówki. – Zostawisz go, ty dziwaczny pomiole? Co on ci zrobił?

– To przecież... – krzyczę, ale dostaję kopa w twarz. Czuję posmak krwi, ale się nie poddaję: – Miresz go kopął. Widziałem!

– Kłamca! – wrzeszczy Miresz. – To nie tak było!

– Miresz może robić sobie ze swoim psem, co zechce, pomiole – mówi Thias i spluwa mi w twarz.

– Właśnie! – wtóruje mu Ló'sierz i też pluje.

A mi teraz nie szkoda siebie, a tego psa i prawdy. Szkoda mi jego bólu, jego strachu, jego wierności. Czuję się tak jak on: wierny, ale zdradzony. Winny za to, że jestem jaki jestem. A może nawet nie to, jaki jestem? Jaki jest ktoś inny, jaki jest moja matka i ten... ten Thenneth.

Szkoda mi bardziej tego psa niż siebie, bo ja mam ochotę kąsać, a on nie. Podnoszę się, ale znowu dosięga mnie cios. Padam na ziemię.

– Nie wstawaj! Leż jak pies! – krzyczy Miresh.

To mnie zirytowało, bardzo. To okrutne i dla mnie, i dla psa, na to się nie godzę. Nie godzę się na takie słowa. Przemoc rozumiem. Kopanie, bicie, plucie też. Ale nie chęłnienie się, nie poniżenie.

Wstaję. Znowu dostaję w twarz. Czuję więcej krwi, ale wstaję.

– Nie wstawaj! Miresh coś powiedział! – warczy Thias.

Ale ja wstaję, bo to, że moja matka ma fagasa, to jedno. Przestanie mnie kochać? Rozumiem. Miresh katuje swojego psa? Tak bywa. Katują mnie? Tak też bywa. Ale jest coś więcej. W życiu jest coś ważniejszego.

Mogą mnie zabić, ale będę walczyć, nie poddam się.

Stoję, raniony ciosami, poniżany, opluwany. Ale stoję!

Rzucam się na Miresha, choć jest największy. Właśnie dlatego, że jest największy. Pcham go z całej siły. Przelewam w to całą swoją złość, całą nienawiść. Całą pogardę do samego siebie, do świata, do otoczenia, do ludzi. Do swojej matki, do Thennetha, do Miresha, jego ojca, Thiasa i Ló'sierza.

Uderzam z całej siły.

A on się nawet nie chwieje. Nie cofa się nawet o pół kroku.

– Co ty robisz, Veyrixiku? – odpowiada spokojnie, jakby łamał mi serce i kręgosłup tą nagłą dziecięcą powagą, tą wyższością sił.

I teraz naprawdę czuję się jak ten pies, który nie kąsa,

bo rozumie, że jest zdany tylko na łaskę i niełaskę pana. Że nic nie może zrobić, że jest bezsilny, bezwolny, zbyt słaby, żeby zrobić cokolwiek. Nie ma sił, nie jest nawet w stanie się bronić – jest po prostu mały i słaby. Może tylko dostawać ciosy.

Miresh mnie pcha, a ja padam jak lalka na bruk, opadam na ziemię, uderzam głową w ścianę. Kręci mi się w głowie. Przed oczami pojawiają się mroczki, gwiazdki czy co tam.

Robi się ciemno, zapada mrok. Chyba na chwilę tracę przytomność.

Budzi mnie kolejny cios. Na języku czuję coś twardego i dużego. Ostre końce z jednej strony. To mój ząb.

Nie mogę być jak ten pies. Katowany tak długo, aż zakocham się w swoim oprawcy. Nienawidzę Miresha. Nienawidzę Ló'sierza. Nienawidzę Thiasa. Nigdy w życiu się nie poddam.

Obiecuję!

Nigdy w życiu się nie poddam! Nigdy w życiu nie będę bezsilny!

Nie będę jak ten pies. Chociaż ucieknę, z dumą i godnością. Ucieknę. Nie będę jak ten pies, który patrzył na mnie tymi brązowymi oczami. Tymi oczami, które śnią mi się co noc.

Wstaję znowu, ale tym razem wybiegam. Przyjmuję cios za ciosem, ale teraz już nie walczę. Łokciem

szarżuję w najsłabsze miejsce tej trójki. Przedzieram się, uciekam, biegnę.

Biegnę przed siebie, a cienie za mną rosną. Wykręcają się w potwornych, powykrzywianych grymasach. Kończynach, szponach sięgających mnie, mojego lęku, mojego bólu, poniżenia. Pogardy.

Biegnę do domu, do mamy. Do ciepła, spokoju, pokoju i odpoczynku.

– Mamo – mówię. Dławię się łzami, gdy wchodzę do domu. – Mamo! Mamo! – krzyczę. Emocje biorą górę, w tym krzyku jest rozpacz. Rozpacz wyrzuconej z siebie pogardy do siebie, do nich. Rozpacz bólu, cierpienia, poniżenia. Niemocy, bezsilności. – MAMO!

Ale ona nie słyszy, za to ja słyszę ją. Słyszę, jak krzyczy, jak jęczy, słyszę ją i Thennetha.

Początkowo myślałem, że coś się dzieje, coś złego. Podejrziałem ich, sądząc, że się biją, walczą, ale potem zrozumiałem, że to to, o czym mówili koledzy.

O czym mówił Miresh, ten śmieć;

o czym mówił Thias; Ló'sierz;

o czym mówił nawet Alfred, inni też.

Wszyscy to mówili, a ja nie chciałem wierzyć.

Mieli rację.

Obrzydliwe. Obrzydlistwo! Jak mama może to robić? To okropne! Już chyba wolę być bity!

Wzbiera we mnie złość. Moje pięści zaciskają się same. Knykie bieleją. Łykam krew i ślinę. Macam językiem chyboczące się zęby.

Nie mogę na to patrzeć, nie chcę.

Nie chcę tu być, nie chcę tego słyszeć, być przy tym.

Nienawidzę cię, mamo! Nienawidzę!

Nigdy ci tego nie wybaczę!

Wychodzę. Wybiegam. Biegnę przed siebie.

– To Veyrix! – słyszę krzyki. – Łapać tego pomiot!

Chcę się rozejrzeć, ale wychował mnie Naa'frakt. Wiem, że nie mam czasu.

Biegnę. Kątem oka widzę, że i oni biegną. Kilka osób, dzieciaki. Wokół słyszę kamienie spadające na bruk. Rozpryskujące się, znikające w zagłębieniach rynsztoków, cegieł. Cegły! One też lecą, lądują, pękają.

Przeskakuję nad nimi. Biegnę dalej.

– Brać go!

Znów krzyki, ale już nie dziecięce, tylko męskie.

Straszne krzyki, jakby powykrzywiane, zdeformowane, jak porykiwania demonów.

– Brać go! Jego matka to dziwka! Matka tego pomiot! to dziwka!

Oni krzyczą, ja biegnę, nie słucham ich.

Nie słucham, kiedy mówią, że jestem nikim.

Kiedy mówią, że jestem niczym.

Kiedy mówią, że do niczego się nie nadaję, że nie jestem niczego wart, że mogą mnie zetrzeć na proch.

Kiedy mówią, że jestem jak ten pies, który nawet nie kąsa.

Ja próbuję, a nie mogę, on może, a nie próbuje. Tym się różnimy, choć obaj jesteśmy niewinni tej przemocy.

Pies nie ucieka, a ja nie ucieknę.

Cegła rozpada się nad moją głową. Pył wpada mi do oczu. Nic nie widzę.

Nie słucham ich. Nie słucham, bo kłamią. Kłamią, że nic nie jestem wart, że do niczego się nie nadaję. A ja wiem, że się nadaję. Teraz jestem słabszy, ale kiedyś im pokażę. Kiedyś pokażę Mireshowi, Thiasowi, Ló'sierzowi, nawet Alfredowi! Pokażę mamie, Thennethowi! Spojrzą na mnie i...

Przecieram oczy, potykam się i wywracam. Uderzam w coś głową. Robi się ciemno, ale chcę biec dalej.

Walczyć.

Nie mogę się poddać, nie mogę dać się zmiażdżyć.

Nie mogę dać się dopaść. Muszę walczyć.

Muszę walczyć!

Próbuję wstać. Po omacku łapię się czegoś przed sobą, chyba murka. Kolejny ząb w moich ustach. Wspinam się rękoma i czuję kamienną stopę pomnika.

Czuję też inną, miękką stopę wbijającą mi się w bark. Kolano wbijające mi się w plecy.

Wspinam się coraz wyżej, podciągam w górę i patrzę przez moment na stary, powykęcany omszały pomnik. Przedstawia nie człowieka, a coś innego, obcego, choć wszystkim nam tutaj znajomego. Nie ma uszu, ale ma skrzela. Twarz płaska, prawie bez nosa, poprzecinana liniami łusek. Palce zrośnięte błoną, a tkwi w nich jakiś zielony kamień.

Widziałem tę postać setki razy, ale teraz widzę jakby po raz pierwszy – znowu? – albo właśnie zupełnie po raz pierwszy.

Dostaję butem w twarz i uderzam czołem w wyryte litery: „RGHLLFTNINN”.

To jakiś bohater. Pewnie ktoś, kto się nie poddawał. Kto walczył. I ja też muszę walczyć. Nie chcę być jak ten pies. Nie mogę być jak ten pies: bezbronny.

Chcę być jak ten tutaj.

Zrywam się. Dostaję butem w twarz, ale będę walczyć. Będę walczyć dalej. Staję, wszystko staje.

Świat się zatrzymuje. Stoi nade mną matka. Nie ma nikogo innego, nikogo tu nigdy nie było. Stoi ona – Rinea. Ta dziwka, jak mówią na nią koledzy z podwórka. Tak jak ja nazywam ją w swoich myślach, tych pełnych nienawiści. Tych, których się wstydzę nawet przed samym sobą.

Stoi nade mną i mówi, a właściwie to krzyczy głosem pełnym pogardy, niechęci, obrzydzenia:

– Co ty znowu robisz, Veyrixie?! Dlaczego przynosisz mi wstyd?! Dlaczego mnie zawodzisz?!

Jak mam walczyć? Co mam zrobić w takiej sytuacji?
Co mam zrobić w takim przypadku? Co robi bohater?

– Dlaczego na mnie krzyczysz?! – pytam. – Ja? Co ty robisz?!
Dlaczego kurwisz się z tym... fagasem?! Dlaczego
o mnie nie dbasz? Dlaczego mnie nie bronisz?! Wszyscy
mnie nienawidzą przez ciebie!

– Nie, Veyrixie, wszyscy cię nienawidzą przez ciebie –
mówi spokojnie, dotkliwie, boleśnie i jadowicie.

A ja czuję ból, który pali mnie żywym ogniem, pożera
od środka. Kulę się w tym bólu, tym cierpieniu. I czuję się
jak pies. Jak ten pies, którego brązowe oczy wpatrywały
się we mnie, kiedy Miresh go kopał. Czekam tylko, aż ból
się skończy, aż pan, właściciel, opiekun, matka po prostu
przestanie mnie nienawidzić. Wtedy ból przeminie, może
mi wybaczy. I wszystko będzie dobrze. Wystarczy poczekać,
mama mi wybaczy.

I czuję się jak ten pies.

– I zawsze pozostaniesz psem – mówi zdeformowany,
zniszczony, potworny głos, rozbrzmiewający echem
pośród cegieł Ney’inu. Ten głos nabiera mocy, a wraz
z nim echo niszczy budynki, które trzęsą się i pękają
na tysiące fragmentów.

Mama rośnie, blednie, wykręca się potwornie. Budynki
rozsypują się, by pozostawić za sobą jedynie puste czarne
plamy, miejsca, w których nie ma nic poza pustką.

– Zawsze pozostaniesz niczym więcej, jak tym psem. –
Czarna postać pokrywa swoim mrokiem czerni za sobą, a jej
głos jest jak tysiąc drzazg wchodzących w skórę, jak milion
siniaków, jak kamienie, cegły, całe mury zwalające mi się
na głowę.

Jak ten jeden plask od matki, który piekł przez całe życie.

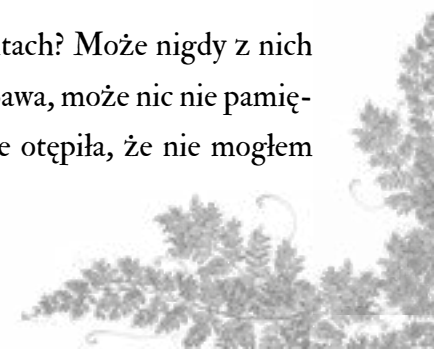


W DRODZE KU CZARNEJ KSIEDZE

Budzę się z krzykiem, płaczem, bólem. Oplatam się rękoma i trzęsę się, łkam.

Koszmary. To one towarzyszyły mi w Labiryntach. Jeden za drugim, każdy gorszy, każdy z dna moich lęków, każdy wyśmiewający moje ambicje, marzenia, miłości i wszystko, co piękne w mojej duszy. Każdy wyciągający na wierzch moje lęki, fobie, moje bóle i braki, moje wszystkie porażki i podkreślający je, karmiący, zwiększający. Czyniły wszystko, co złe, sednem mojego życia, zmieniały wszystko, co dobre, w żart.

A może dalej jestem w Labiryntach? Może nigdy z nich nie wyszedłem? Może to tylko zabawa, może nic nie pamiętam? Może szalona moc tak mnie otepiła, że nie mogłem



się skupić. Może to po prostu kolejny upiorny sen na mojej drodze? Może tylko kolejna próba, kolejny żart więżących mnie demonów?

Nie pamiętam wyjścia z Labiryntów, zresztą stamtąd też coraz mniej pamiętam, raczej sam koncept. Choć i tak wiem, że detale powrócą w snach.

Detale takie jak ten.

Patrzę na biel ciągnącą się po horyzont, na wznoszące się gdzieś tam szczyty i wystające ponad białą czapę łysę drzewa.

Czuję się tu samotny. Euforia miesza się z paraliżującym lękiem – nie niweluje go, a potęguje.

Nie mam żadnego dowodu na to, że istnieję, tutaj, w tej głuszy, kiedy jestem sam. Chciałbym kogoś poczuć, kogokolwiek, ale nie widzę na to wielkich szans. Droga przez te śniegi zajmie mi bardzo długo, a ja co rusz się zapadam, co chwilę się o coś potykam. Każdy dzień to zaledwie parę kilometrów.

Czas ruszać dalej.

Pomyśl o czymś dobrym.

Zamykam oczy.

Mama mnie przytula, mówi mi, że mnie kocha. Then-neth mówi, że jest ze mnie dumny.

Patrzę na swój pomnik, gdzieś tam daleko widzę wystającą jeszcze głowę. Wywołuje on u mnie dwojakie uczucia.

Pierwsze – pogardę do samego siebie. Drugie – dumę, poczucie spełnienia.

Wdech.

Wszystko jest dobrze. Muszę iść. Wszystko będzie dobrze.

Wydech.

Ruszam przed siebie, a z każdym krokiem jest coraz lepiej. Lęki odchodzą, jakby zostały tam, gdzie spałem, przy przygaszonym ognisku. Jakbym zostawiał je za sobą.

W ich miejsce znowu wbija się euforia, choć mam wrażenie, że mniejsza. Może nieco przestraszona. Daleka droga przede mną. Muszę coś wymyślić. Muszę wymyślić, jak użyć mocy, żeby dostać się Vironolu szybciej. To przekleństwo, że jestem tu z mocą słońca, zamknięty w tym białym puchu – i bezsilny. Skazany na zwykłe, śmiertelne kroki. To wręcz ironia. Ponury żart demonów, Ethnu, losu.

Czytałem kiedyś o czymś takim jak teleportacja, ale to tylko legendy. Nie wiadomo, czy jest możliwa, a nawet jeśli, to czy ktokolwiek śmiertelny to potrafi. Może Rghll, bo jeśli nie on, to nikt. Z tym że jego tutaj nie ma.

Nie ma, prawda?

Waham się. Czuję ukłucie w sercu, ogarnia mnie poczucie odrealnienia. Jakbym w ogóle nie istniał. Serce przyspiesza w panice.

Rozglądam się.

Nie, nie ma.

Wszystko jest tak, jak zapamiętałem. Śnieżne połacie, karłowate drzewka. Samotność. Ślady butów za mną.

Dobra, jakie są inne opcje niż teleportacja? Lot! Widziałem tylko raz, jak ktoś unosił się w powietrzu – i był to Rghll, ogarnięty szaleństwem, gdy zmienił się w niszczyciela światów.

Może powinienem rozpuścić śnieg ogniem?

Skupiam się. Drobiniki wibrującej energii przechodzą przeze mnie, przez moje ciało i dłonie, wystrzeliwują z końcówek palców białym, osłepiającym błyskiem.

Powietrze wibruje, drży mi w płucach.

Gorąco przypala skórę. Czuję smród palonych włosów. Dziesięć metrów przede mną nie ma ani śniegu, ani wody. Jest tylko sucha, nadpalona ziemia. Kolejne dwadzieścia, trzydzieści to woda, która zalewa wszystko i rozpuszcza śnieg wokół.

Potem pokrywa śnieżna jest po prostu niższa.

Zwycięstwo materii nad umysłem. Teraz mam mokre buty.

Idę jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym rozbijam obóz. Rozpalam ogień, suszę buty na kiju. Tu powinno być przeraźliwie zimno, ale ja tego nie czuję. Pewnie ta smocza moc zniekształca mój odbiór rzeczywistości.

Dlatego nie ma tu ludzi. Oni tu zamarzają.

Chociaż żyją tu zające. Czy tam, gdzie żyją zające, nie żyją też ludzie? Muszę to przemyśleć. Ból głowy

szybko mi to przerywa. Za każdym razem, kiedy staram się na czymś skupić, czuję klucie. Potem nadchodzą dezorientacja, poczucie odrealnienia, zawroty głowy. A po nich lęki. Beznadzieja, zwątpienie.

Może to w ogóle nie jest Valandriol?

Co, jeśli dalej jestem w Labiryntach, nigdy z nich nie wyszedłem?

Co, jeśli nie ma we mnie smoczej mocy?

Co, jeśli nie żyję?

Co, jeśli wszystko to jedno wielkie złudzenie?

Byłoby bardzo głupio, gdyby okazało się, że to wszystko wydarzyło się tylko w mojej głowie, zamkniętej w piekielnych Labiryntach.

Serce znowu wariuje.

Albo na jakichś wyżynach w innych światach.

Mój oddech przyspiesza, choć walczę jedynie ze swoimi myślami. Chcę płakać. Płakać z poczucia bezsilności, samotności. Mogę i mieć moc tysiąca słońc, ale co z tego, jeśli nie wierzę w swoje życie, istnienie? Potrzebuję kogoś, kogokolwiek. Nie dam rady sam!

Nie, nie. Takim myśleniem nigdzie nie zajdę!

Wdech.

Może i nie pamiętam wyjścia z Labiryntów ani tego, co stało się z Rghllem, choć mam wrażenie, że miało to coś wspólnego z jakimś smokiem... Nie, nie wiem, nie jestem pewien. Nieważne.

Wydech.

Nawet jeśli nie pamiętam, dlaczego poszedłem za zabójczynią ani gdzie znikła, nie oznacza to, że nie pamiętam też faktów. Fakty są takie.

Wdech.

Wyszedłem z piekielnych Labiryntów wraz z Rghllem. Rghlla nie ma, coś wydarzyło się ze smokiem, pewnie tym samym, co był w Neri'inie... Z kolei ja jestem w Valandriolu i idę po Czarną Księgę, która da mi nieśmiertelność. Znajduje się u vironolskich magów.

Wydech.

Fakty są takie.

Wdech.

Nawet jeśli niczego nie pamiętam, to nie znaczy, że to się nie wydarzyło albo że tego nie ma.

Wydech.

Znajdę ludzi, cywilizację. Dotrę do Vironolu, znajdę księgę. Przeprowadzę rytuał, pokonam klątwę i śmierć.

Uspokajam się i rozglądam. Dotykam butów. Suche. Czas iść dalej.

Ruszam przed siebie. Trochę mi lepiej. Ważne, żeby iść, to najważniejsze.

Tylko jak dostać się do Vironolu szybciej?

W czym jestem dobry? Żywioły oraz telekineza.

Żywioły!

Ogień przyniósł tylko wilgotne stopy.

Ziemia raczej nic mi nie da, chyba że wykopię tunel pod górami. Jak dużo energii kosztowałoby mnie wyrwanie w ziemi tunelu o długości kilku kilometrów? Prawdopodobnie za dużo. Czy warto ryzykować? Nie, ale jeśli stanę przed ścianą skalną, to mogę spróbować. Trzeba zapamiętać tę opcję.

Woda. Jeśli ściągnąłbym deszcz, co kosztowałoby mnie bardzo dużo i czasu, i energii, to jaki byłby efekt? Jeśli nie zamarznie, to wszystko będzie mokre. Jeśli zamarznie, będzie dużo trudniej. Może gdybym punktowo wyczarowywał jakiś ciąg wody, to... nadal byłbym po prostu bardziej mokry.

Powietrze? Może gdybym przyzywał wichurę, to zdmuchnęłaby śnieg?

Myszę, trawię. Rozglądam się i widzę równą, kilkudziesięciocentymetrową warstwę śniegu na całej wyżynie. Myszę o lawinach. Myszę, jak silny wiatr musiałby wiać, żeby zdmuchnąć taką warstwę śniegu.

Może gdybym zdmuchiwał śnieg przed sobą, to byłoby łatwiej?

Skupiam się. Pęcherzyki mocy spływają wzdłuż mojego ciała, tętnią w żyłach. Wyciągam przed siebie dłoń. Spod moich palców wyrwa się ciąg powietrza. Śnieg rozsypuje się na boki, gna do przodu.

Sukces!